Z Dumy Państwowej.

Ospały i nieciekawy przebieg posiedzeń Dumy państwowej, którym szerszy ogół dawno przestał się interesować, nagle został zakłócony. Rozegrał się w niej skandal niebywały jeszcze w instytucji, która tyle już skandalów widziała. Sprawcą ostatniej awantury, jak tylu innych, był Puriszkiewicz. Błazeńskie jego wystąpienia dawno już spowszedniały. Potrzeba było nadzwyczajnego wybryku, żeby wyprowadzić z równowagi opozycję i poruszyć opinję. Puriszkiewicz potrafił tego dokazać. Ze strony przedstawicieli prawicy nieraz już padały słowa brutalne i cyniczne, od których rumieniły się i uciekały stenografistki. Tym razem brutalne i cyniczne słowa Puriszkiewicza rzucone były pod adresem studentki, wchodzącej w skład Rady studenckiej uniwersytetu petersburskiego. Prezes Dumy Chomiakow, zamiast poskromić Puriszkiewicza, skarcił posłów z opozycji, którzy swe oburzenie wyrażali. Przeciwko postępowaniu prezesa założono protest. Zaraz potym rozeszła się wiadomość, że Chomiakow podał się do dymisji. Na następnym posiedzeniu Dumy, gdy na trybunie pojawił się Puriszkiewicz i zaczął przemawiać w tym samym co i poprzednio tonie, opozycja wrzawą i okrzykami zagłuszała jego słowa. Demonstrujących posłów wydalano jednego po drugim. Wśród wydalonych z Dumy na mniejszą lub większą ilość posiedzeń znaleźli się socjaliści Gegeczkori i Czcheidze, trudowicy Bułat i Rozanow, nawet leader kadetów Miliukow. Jednocześnie rozeszły się pogłoski o blizkim i niechybnym rozwiązaniu trzeciej Dumy. W świetle tych pogłosek wystąpienia Puriszkiewicza przedstawiały się

jako celowa prowokacja, by to rozwiązanie przyśpieszyć i dać do niego powód.

Wzburzenie, wywołane temi wypadkami, przeniosło się poza ściany pałacu Taurydzkiego. W sali aktowej uniwersytetu petersburskiego odbył się wiec, na którym zebrało się przeszło 3,000 studentów. Jednogłośnie zapadły uchwały, wyrażające pogardę Puriszkiewiczowi, potępiające postępowanie prezesa Dumy, wyrażające wdzięczność opozycji, że się za młodzieżą uniwersytecką ujęła. Nawet przedstawiciel studenckiego oddziału związku narodu rosyjskiego przyłączył się do protestu. Podobne uchwały zapadły i w niektórych innych zakładach naukowych. Przed Dumą defilowały liczne grupy młodzieży. Gdy ukazywali się na ulicy posłowie, wydaleni za protest przeciwko Puriszkiewiczowi, sprawiano im owacje.

Dodajmy do tego naprężenie, jakie w ostatnich czasach zapanowało w stosunkach pomiędzy rządem, a dotychczasową partją „rządową“ w Dumie — październikowcami, którzy mimo całej usłużności wpadli w niełaskę i uznani zostali za zbyt chwiejną podporę polityki rządowej; wspomnijmy coraz częstsze wypadki ignorowania Dumy przez rząd albo dysonanse, które powstawały pomiędzy Dumą a poszczególnemi ministrami. Podczas obrad nad budżetem ministerjum spraw wewnętrznych, gdy z najrozmaitszych stron krytykowano działalność tego ministerjum, prezes Rady ministrów i minister spraw wewnętrznych Stołypin był nieobecny, ale nie zabrakło mu czasu na zjawienie się w tymże czasie w Radzie państwa i wygłoszenie energicznej mowy w obronie nowego podatku na towary, wwożone do miast. W czasie obrad nad budżetem ministerjum oświaty, minister Schwartz uważał wprawdzie za stosowne wystąpić z mową, ale w niej do takiego stopnia z góry potraktował oponentów i Dumę, że się rozgniewali nawet potulni październikowcy i wystąpili z ostremi replikami. Gdy zaś minister chciał odpowiadać, Duma nie chciała go słuchać; żądano przerwy, wynoszono się z sali, pozostawiając ministra na trybunie. P. Schwartz, nie doszedłszy do głosu, opuścił salę posiedzeń w bardzo złym hu-

morze, i miał się podobno odezwać, że ta Duma postępuje, jak pierwsza Duma... Jeszcze przedtym zwróciło uwagę wystąpienie październikowca Godniewa, który udowodnił, że wciąż ogłaszane są i w zbiorze praw zamieszczane takie ustawy, które właściwie ustawami nie są, gdyż nie były wydane „w należytym porządku“, t. j. nie były rozpatrzone przez Izby prawodawcze. Godniew nazwał to naruszeniem praw zasadniczych. Jednocześnie prawie, z inicjatywy tegoż Godniewa, znacznie obcięto kredyt na utrzymanie straży, pilnującej wygnańców politycznych na zesłaniu, podkreślając w ten sposób żądanie ograniczenia i zniesienia wygnania administracyjnego.

Słowem, grzechów rozmaitych Duma popełniła w ostatnich czasach bez liku, i również często dawali jej poznać swe niezadowolenie ministrowie. Aż nadto racji dla powstania rozmaitych alarmujących pogłosek, zwłaszcza w związku z dymisją Chomiakowa, którą przypisywano niezadowoleniu z niego i Dumy „sfer“. Uderzyć w ten dzwon uważało za potrzebne, prawdopodobnie nie bez myśli utajonej, i „Nowoje Wremia“, pisząc, że „do zrzeczenia się Chomiakowa przyczynił się nie zawsze życzliwy stosunek rządu do prezydjum Dumy, a jeżeli wierzyć pogłoskom, to sam stosunek rządu do Dumy, na którą spogląda on jako na aparat, prawie że utrudniający działanie mechanizmu państwowego“. Na to ogłosiło urzędowe „Biuro informacyjne“, że „wzmianki gazety „Now. Wr.“ o nieżyczliwości rządu względem prezydjum Dumy są niezgodne z prawdą, przypisywany zaś rządowi przez tę gazetę pogląd na Dumę nie odpowiada rzeczywistości“.

Nie widzimy żadnej racji nie wierzyć komunikatowi urzędowemu. Pogłoski o rozwiązaniu trzeciej Dumy powstawały już nieraz, i za każdym razem okazywały się one manewrem, pochodzącym ze stron, którym zależało na wywarciu nacisku na większość Dumy, truchlejącą na samą myśl o takiej ewentualności. Przypuszczamy jednak, że najreakcyjniejsze nawet koterje, marzące o powrocie do dawnego

stanu rzeczy, zdają sobie sprawę, że ze względu na stosunki międzynarodowe, a zwłaszcza kredytowe, nie można się obejść bez Dumy, a jeżeli tak, to trudno o lepszą i powolniejszą niż istniejąca. Nie zważając na rozmaite drobne zatargi i utarczki, większość Dumy nigdy jeszcze nie zawiodła, kiedy chodziło o poparcie polityki nacjonalistycznej albo o stłumienie ruchu robotniczego. Zresztą, jaka jest racja pozbywać się instytucji, w której wybitną rolę gra nieoszacowany Puriszkiewicz, albo słynny Markow II, który niedawno jeszcze, broniąc policyjnego skrępowania awiatyki, wsławił się lapidarnym powiedzeniem: „Przecież to zupełnie jest jasne, że zanim pozwoli się ludziom latać, trzeba wpierw nauczyć policjantów latania za niemi!“ Trudno też przedstawić sobie dobór posłów, ze względu na swe położenie społeczne, więcej harmonizujących z panującą tendencją polityczną. Toż przecie według najnowszych obliczeń wielcy obywatele ziemscy stanowią 43,5% ogólnej liczby posłów, duchowni i misjonarze 10%, wielcy przemysłowcy i kupcy 7,5% i t. d.!

Znamienną cechą trzeciej Dumy jest brak określonej i zespolonej większości. Duma ta od początku swego istnienia nosi miano „październikowej“, i istotnie pierwotnie październikowcy mieli w niej imponującą ilość przedstawicieli— mianowicie 153 posłów, co nie stanowiło większości (ogółem Duma liczy 440 posłów), ale dawało im rolę decydującą. Potym jednak frakcja październikowców zaczęła topnieć — w ciągu paru lat straciła ona 29 członków i liczy ich obecnie tylko 124. Niektórzy uciekinierowie z pod chorągwi październikowej utworzyli grupę „prawicowych październikowców“, zlewającą się z umiarkowanemi prawicowcami, inni ogłosili siebie za bezpartyjnych i t. d. Umiarkowani prawicowcy i nacjonaliści liczyli dawniej razem 96 członków. Obecnie połączyli się oni i utworzyli jeden klub nacjonalistów, liczący 89 członków, stracili więc ich 6. Zwiększyła się znacznie ilość bezpartyjnych — na początku trzeciej Dumy był tylko jeden bezpartyjny, teraz jest ich 18; ilość postępowców wzrosła z 28 do 39. Naogół więc liczebne zmiany.

jakie zaszły w Dumie w ciągu 2½ lat, wyszły na korzyść żywiołom lewicowym i przyniosły uszczuplenie żywiołów prawicowych. Dawniej blok październikowców, umiarkowanej prawicy i nacjonalistów liczył 249 posłów i posiadał 58 głosów absolutnej większości w Dumie. Obecnie blok ten posiada tylko 8 głosów absolutnej większości. Tak słaba większość, przy niepewności posłów włościańskich, stanowiących dość pokaźną grupę wśród nacjonalistów, łatwo może obrócić się w mniejszość przy głosowaniach w Dumie.

Nic dziwnego wobec tego, że październikowcy stracili swój kredyt w oczach rządu, który im to od czasu do czasu daje do zrozumienia; nic dziwnego też, że doznany zawód pobudza ich od czasu do czasu do frondy. Dwie są drogi które mogą ich z nicości wyprowadzić, w którą stopniowo się pogrążyli: albo zbliżenie się do opozycji, albo zgoda ze skrajną prawicą. Pierwszego nikt się po nich nie spodziewa drugie faktycznie następuje, ile razy chodzi o jakąś kwestję, dotyczącą „obcoplemieńców“ albo sprawy robotniczej. Kiedy zaś chodziło o ustalenie porządku prawnego, o gwarancje konstytucyjne, o zniesienie stanów wyjątkowych, o ukrócenie samowoli administracji, słowem o ziszczenie zasad manifestu październikowego, przywódca październikowców Guczkow ograniczył się formułą: „My czekamy!“ Teraz, gdy po Chomiakowie Guczkow wybrany został na prezesa Dumy gdy na nim leżą jej reprezentacja i wynikające z tego stosunki, cierpliwość jego, a z nim całej jego partji, stanie się prawdopodobnie jeszcze wytrzymalszą. Przy panującym w państwie „uspokojeniu“, wszystkie zajścia w Dumie są burzą w szklance wody. Dla tego też tak mało prawdopodobne są pogłoski o rozwiązaniu trzeciej Dumy.

T. Zaklika.

Rozwój pojęć religijnych.

(Dokończenie).

Z kolei musimy zastanowić się nad deizmem i panteizmem. Oba te odłamy myśli ludzkiej nie są bynajmniej równoznaczne. Deizm to właśnie pojęcie Boga jako idei, jako przeciwieństwo materjalnemu bytowi, który nas otacza. Widzimy np. bieg zdarzeń historycznych. Wiemy, że były te i te warunki, które spowodowały wędrówki narodów, wojny etc. Ale poza stroną materjalną jest strona duchowa, kierunek rozwoju, idea jego. W niej to właśnie przejawia się Bóg. Stojąc ponad światem, jest on jego myślą i natchnieniem, jakby duszą w martwym jego ciele. Cały sens bytu, jego kierunek, jego cel, wszystko to nadane jest przez Boga. Deizm jest poglądem charakterystycznym dla pewnej fazy myślenia filozoficznego, tej mianowicie, która opiera się na przekonaniu o dwoistości pierwiastków bytu, materji i ducha, czyli na dualiźmie. Deizm często łączy się z religją wyznaniową. Jest on wtedy niby jej głębszym ujęciem, filozofją religji. Często ludzie, zowiący siebie wyznaniowcami, są w istocie dla siebie samych deistami, dla tłumu zaś, dla tych, którzy wedle ich mniemania nie dorośli jeszcze do deizmu, są oni wyznaniowcami. Dla deisty Bóg nie jest już osobą, jest on duchem, ideą, mającą byt przedmiotowy. Bóg, w oczach deisty, nie może mieć własnej historji, ani przygód. Historję ma świat materjalny. Tylko kierownikiem jej i natchnieniem jest Bóg. Oczywiście mitologja nie może być szczerze i poprostu przystosowana do deizmu. To też tam, gdzie deistyczne pojęcie bóstwa wchodzi już do religji, mitologja i obrządki otrzymują znaczenie symboli. Mówi się wtedy, że np. msza chrześcijańska nie jest istotną przemianą chleba i wina w ciało i krew, ale tylko symbolicznym aktem, wyrażającym wewnętrzny udział bóstwa w życiu ludzkim. Prorocy przestają być nauczani osobiście przez Boga, co i jak mają mówić, a prorokują tylko pod natchnieniem

duchowego pierwiastku świata, działającego w nich nieświadomie. W religjach dzisiejszych, w krajach oświeconych, teologowie najczęściej ulegają wpływom deistycznym. Szczególnie wyraźnie występuje to np. w religjach protestanckich. Deizm daje daleko większą swobodę swym wyznawcom, niż teizm. Można tu już komentować w przeróżny sposób księgi święte i przepisy religijne. Można nadawać ten lub ów sens obrządkom, a co z kolei idzie za tym — pewne z nich przyjmować, a inne odrzucać; stopniowo obrządki, podania religijne i t. p. odpadają i zostają tylko pewne wzniosłe pojęcia, stanowiące samą istotę deizmu. W ten sposób deizm wprowadzony do religji wyznaniowej dla jej uduchowienia, siłą własnego rozwoju rozsadza jej ścianki. Wyznanie upada, a pozostaje tylko pogląd religijny na świat.

Panteizm jest jeszcze krokiem dalszym naprzód. Rozwój idzie tutaj już w obrębie samej filozofji. Wytwarza się przekonanie, że duch i ciało nie jest to skojarzenie luźne i wypadkowe dwuch pierwiastków, które mogą także istnieć i oddzielnie, ale, że uduchowione ciało stanowi jedność, której nie można rozerwać bez jej zniszczenia. To, co spotykamy jako duchowe, jako świadome w bycie wszechświata, to jest jego jedną stroną nierozerwalnie związaną z całością. To, co pod pewnym kątem widzenia wydaje się nam być duchem, pod innym kątem widzenia, wyda się, jako materja. Zamiast więc dwoistości w przyrodzie panuje jedność. Wszelkie zmiany, różnice, przekształcenia — są to sprawy dodatkowe, zależne od naszego umysłu. W istocie byt jest jeden, niezmienny, wieczny. Byt ten jest Bogiem. Bóg więc nie stoi, jako duch ponad przyrodą. Tkwi on w niej samej, jako jej łożysko, strona zasadnicza, jej prawo, jej konieczność. Bóg w przyrodzie i przyroda w Bogu — to jedność. W panteizmie myśl ogarnia całość bytu i czci ją. Wyznaniowcy zarzucali największemu panteiście, Spinozie, że ubliża on Bogu, twierdząc, że wszelaka rzecz jest częścią jego istoty. Właściwie nigdzie uczucie i cześć nie zwraca się ku takim szerokim horyzontom, jak w panteizmie. Człowiek odczuwa tu

swój związek ze wszechświatem. Nie jedna jakaś osoba stoi ponad nim i kieruje jego losem, ale wszystko razem splata się w konieczny szereg wypadków, jako olbrzymia duchowa i materjalna jedność. Giordano Bruno, filozof i poeta panteizmu, pięknie wyraził uczucie panteisty wobec świata. „Przyroda, mówi on, przypomina nauczyciela śpiewu. Ma on dużo głosów w swoim chórze, może ich jednak jednoczyć w harmonijnym zespole. Wszystko jest doskonałe, gdyż w swojej własnej odrębności jest istotą, której żadna inna nie ogranicza; taka jest wewnętrzna miara doskonałości".

Panteizm daleko zaciętszych ma wrogów w klerykałach niż deizm. Podrywa on bowiem odrazu z gruntu podstawy wyznania, znosząc różnicę zasadniczą między materją a duchem. Panteiści byli zawsze narażeni na prześladowania ze strony wyznaniowców. Giordana Bruno spalono, Spinozę wypędzono z miasta. Panteiści jednak miewają uczucia religijne, jak to mówiliśmy powyżej, tylko przenoszą je na całą przyrodę. W tej formie dochodzą one nawet u nich do szczególniejszego napięcia.

Teizm, deizm, panteizm są to trzy postępowe fazy wielbienia Boga; jako osoby, jako ducha, jako przyrody całej. Myśl ludzka jednak idzie dalej jeszcze i przewraca po kolei karty rozwoju, chociażby najpiękniejsze. Przez przodownictwo postępu wszystkie te trzy stadja są już przezwyciężone. Pozytywny kierunek filozofji wskazał właściwe miejsce pojęciom ogólnym. Wykazano, że żadne oderwane, ogólne pojęcie nie ma bytu przedmiotowego. Jest to tylko nasza myśl, a nie przedmiot istniejący niezależnie od naszego umysłu. W ten sposób usunięto podstawy tak z pod deizmu, jak i panteizmu. Ani *duch* może bowiem istnieć oddzielnie od zjawisk materjalnych, w jakich się objawia, ani może być oddzielona zasadnicza część przyrody, *jej substancja*, od strony dodatkowej. Tylko przez rozbiór naszych pojęć wydzielamy te części z całości doświadczenia. Pozytywizm uczy nas, że rzeczywistość składa się tylko z faktów, z pojedyńczych przedmiotów i zdarzeń. Nie ma więc substancji, są tylko od-

dzielne przedmioty, Nie ma ducha oddzielnie od materji, są tylko ożywione ciała. Ale nie ma też przedmiotu niezależnego od innych przedmiotów. Wszystkie one stoją we wzajemnym ze sobą stosunku. Stąd też niesłusznie jedną stronę zjawisk uważać za ważniejszą, niż inne. Wobec rzeczywistości wszystkie fakta, największe i najmniejsze, wszelakie przedmioty, wszystkie ich cechy są równoznaczne. Tylko z ludzkiego praktycznego punktu widzenia rozróżniamy ich wartość.

Logiczne konsekwencje z powyższych założeń wyprowadza filozofja *agnostyczna*, t. j. *nie wierzących*. Powiada ona szczerze, że o Bogu nic nie wie. Nie wie dla tego, że naiwne mitologiczne pojęcie Boga jest nielogiczne i bezsensowne, że deizm oparty jest na błędnym poglądzie, na dwoistości pierwiastków przyrody, panteizm zaś na błędnej wierze w istnienie substancji, jako zasady czy podłoża wszystkich zjawisk. Ponieważ wszystkie konstrukcje pojęciowe zawiodły, lepiej jest przyznać otwarcie, zgodnie z prawdą, że nie wiemy, niż udawać przekonania tam, gdzie ich nie ma. W stosunku do świata nie możemy uważać Boga ani za jego twórcę, ani za jego natchnienie, ani za jego substancję. Świat est jedność, której początku nie znamy.

Przeciwnicy tego poglądu mogą powiedzieć: o Bogu nie wiemy nic dokładnie, w ten sposób jak to wiemy np. o wodzie, powietrzu lub Napoleonie. Ale, że nie wiemy, nie dowodzi to, że go nie ma. *Istnieje możliwość Boga.* Agnostycy mają na to odpowiedź: niezaprzeczenie, wiedza nasza ogarnia bardzo małe horyzonty. Mimo odwiecznych wysiłków, dziś jeszcze myśl ludzka powoli tylko wydziera cząstkę po cząstce prawdy z cieniów tajemnicy, która nas otacza. Można więc przypuścić wszystko. Nawet istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że we wszechświecie znajdą się istoty wyższe, niż my—ludzie. Trzeba tylko wyznać szczerze, że to wszystko będą przypuszczenia, hypotezy, których przy naszej całej tegoczesnej wiedzy sprawdzić niepodobna. Nie osiągną więc one nigdy dla nas pewności. Cała zaś nasza logika ludzka

całe nasze doświadczenie, każe nam odrzucić to, co nam w tym zakresie dotychczas jako prawdę podawano. Wiemy o źródłach tych pojęć, znamy doświadczenia i pojęcia, które w ukształtowaniu ich uczestniczyły i rozumiemy ich wartość.

Wobec takiego stanu rzeczy zradza się pytanie, czy nie jest to przezornie ze strony ludzkości kultywować chociażby sztucznie wiarę w bóstwo? Wszak wiara taka daje pewien zasób uczuć człowiekowi, uczuć cennych i wzniosłych; szkoda więc byłoby je utracić. Agnostycy dają na to przeczącą odpowiedź. Ten splot pojęć, który wchodzi w skład pojęcia bóstwa i który, przynajmniej w wyższych fazach rozwoju, ma niezawodnie wielkie znaczenie dla człowieka, nie zatraca się, tylko rozpłata w umyśle niereligijnym. Alboż nie odczuwamy uczucia wielkości, rozważając wszechświat z miljonami indywiduów w stałych pomiędzy sobą związkach? Alboż nie mamy uczucia podziwu, widząc jak rozwój wytwarza coraz nowe formy bytu? Czy nie zowiemy tego twórczą rzeczywistością? Czy nie wkładamy wiele miłości w naszą myśl o szczęściu, jakie rozwój ludzkości przyniesie? Kto nie chce dobra tej ludzkości, nawet tych wszystkich istot żywych, które je mogą odczuwać i kto nie jest gotów pracować nad sobą samym, aby to dobro przyśpieszyć? Nie oczekujemy coprawda nagrody za nasze dobre postępki, ale w tym przecie zawiera się wyższość moralna! Nie mamy uczucia osobistego stosunku do istoty wyższej. Ale zato czujemy się członkiem koniecznego biegu zdarzeń we wszechświecie. Oblicze nasze zwrócone jest ku wszystkiemu co wielkie, piękne i harmonijne, i myśli tej nie zmąci nam żadna nadzieja zysku osobistego. Hasłem zaś ludzkości musi nazawsze pozostać *prawda*. W jej imieniu bowiem ludzkość osięgła już największe swoje zdobycze i w jej tylko imieniu i nadal będzie się dokonywał postęp.

J. Kodisowa.

O KOMETACH.

(Dokończenie).

Przysłoneczna odległość komety Halley'a, dająca się określić bezpośrednio, jest bardzo mała i wynosi tylko 0.6 średniej odległości ziemi od słońca, co znaczy, że w przysłonecznej części swej drogi kometa Halley'a przechodzi pomiędzy słońcem a ziemią, a nawet pomiędzy słońcem a Wenerą.

Przy takich odległościach *średniej* i *przysłonecznej* (najmniejszej) odległość odsłoneczna (największa) komety Halley'a wynosi:

$$2 \times 18 - 0{,}6 = 35.4$$

średnich odległości ziemi od słońca, t. j. przekracza drogę najdalszej planety, *Neptuna*.

Odległość *międzyogniskowa* drogi komety Halley'a wynosi oczywiście:

$$2 \times 18 - 2 \times 0.6 = 34.8$$

średnich odległości ziemi od słońca. Dwie z liczb powyższych : 34.8 i 0.6 — przy znanej średniej odległości ziemi od słońca:

150.000.000 kilometrów,

dają w kilometrach odległości *międzyogniskowe* i *przysłoneczną* drogę komety Halley'a, a temi dwiema odległościami, jak widzieliśmy, droga eliptyczna określa się w całości— z wyjątkiem położenia jej płaszczyzny.

Komecie Halley'a, która pierwsza dała możność określenia drogi komety, sądzonym jest w roku bieżącym po raz drugi posunąć znakomicie naprzód nasze wiadomości o kometach, a to dzięki temu, iż da się ona oglądać z odległości tak blizkiej, jak żadna inna kometa, a widziana była po raz ostatni przed 75 laty. Oczywiście przez te 75 lat technika astronomiczna zrobiła znakomite postępy. Powstały udoskonalone instrumenty i nowe metody, których brak nie pozwolił przed 75 laty wyzyskać blizkości komety Halley'a tak, jak to będzie możliwym w r. b. Wśród tych nowych metod pierwsze miejsce zajmuje fotografja, która obecnie staje się jednym z najdzielniejszych narzędzi astronomicznych i dzięki której wykryto wiele gwiazd, niewidzialnych przez teleskopy,

tak iż dzięki niej obok grup gwiazd: *widzialnych* (gołym okiem) i *teleskopowych* powstała nowa wciąż zwiększająca się grupa *gwiazd fotograficznych.* To też obecnie do obserwowania komety Halley'a czynią się powszechne przygotowania, obejmujące, między innemi, wysyłanie na środek Oceanu Spokojnego specjalnego obserwatorjum na okręcie, aby i z tej części ziemi—przez specjalnie czyste powietrze największego z oceanów—kometę Halley'a obserwować. W przygotowaniach tych jedno z pierwszych miejsc zajmują przygotowania fotograficzne.

Obecnie nasze wiadomości o *stanie fizycznym* komet przedstawiają się jak następuje:

W połowie zeszłego stulecia odkryto niespodziewany, czyniący wrażenie czegoś nadzwyczajnego, środek poznawania składu chemicznego i fizycznego ciał niebieskich, który w skróceniu nazywa się *stanem fizycznym* ciał niebieskich w ogólności. Środkiem tym jest tak zwana *analiza spektralna.*

Analizą spektralną nazywa się *badanie widma światła.* Analizą spektralną danego ciała niebieskiego jest więc badanie widma światła, pochodzącego od tego ciała niebieskiego.

Widmem nazywa się obraz promienia światła, *rozłożonego za pomocą przezroczystego pryzmatu* (t. j. klina z jakiegoś ciała przezroczystego, np. szkła) *na barwy,* które są częściami składowemi tego promienia. Każda z tych barw przedstawia światło *proste,* dalej już nie dające rozkładać się przez pryzmat. Światło, rozkładające się przez pryzmat na widmo, jest więc światłem, zmięszanym z rozmaitego światła prostego, jednobarwnego, *światłem złożonym.* Światło *białe* jest światłem złożonym *w stałej proporcji z całej skali* rozmaitego światła jednobarwnego. Przy innej proporcji składu światła złożonego światło to nie jest światłem czysto białym. Przy bardzo odmiennej proporcji składu światła złożonego, lub przy składaniu się z niecałej skali światła jednobarwnego, światło złożone nie jest białym, lecz również barwnym. Barwy światła złożonego mogą być niekiedy zupełnie takiemi samemi, jak barwy światła prostego, są one jednak w pierwszym wypadku rozkładalnemi przez pryzmat, w drugim nie. Barwy światła złożonego nazywają się *nieczystemi* w przeciwieństwie do barw światła prostego, które nazywają się *czystemi.*

Wykryto, że światło proste pochodzi jedynie od rozpalonych gazów, *chemicznie prostych* (pierwiastków), i że te same ciała gazowe, chemicznie proste, wysyłają w stanie rozpalenia

światło zawsze tych samych barw czystych. Stąd z barw czystych, występujących w widmie światła, pochodzącego od danego ciała niebieskiego, można zawsze wywnioskować, jakie ciała gazowe, chemicznie proste, znajdują się w stanie rozpalenia w tym ciele. Z dającej się porównawczo oceniać *jasności* rozmaitych barw czystych w widmie, można porównawczo oceniać *wysokość temperatury* gazów chemicznie prostych, które wysyłają te barwy. Jest jeszcze wiele innych stosunków stałych pomiędzy szczegółami widma i szczegółami fizyczno-chemicznemi ciała, dającego to widmo. Szczegółów tych wszystkich przytaczać nie będziemy. Dodamy tylko jeszcze jedno: ponieważ gazy rozpalone wysyłają tylko barwy czyste, pochodzące od ich składników chemicznie prostych, więc światło gazów rozpalonych rozkłada się w widmie tylko na barwy czyste, które odpowiadają tym składnikom. Barwy te w widmie oddzielają się od siebie czarnemi przerwami, odpowiadającemi, co do miejsca w widmie, temu światłu prostemu, którego dane gazy nie wysyłają. Widma więc światła gazów rozpalonych składają się z oddzielnych *prążków* barw czystych i jako takie nazywają się *przerywanemi* lub *prążkowanemi*.

Rozpalone *ciała stałe* wysyłają zawsze światło *białe*, którego składowe barwy czyste zajmują całą dłu ość widma bez pozostawiania czarnych przerw, i dla tego widmo światła białego ciał stałych nazywa się *widmem ciągłym*. Na widmie ciągłym światła białego mogą też być *czarne przerwy*, ale są to przerwy tylko pozorne. W istocie są one prążkami niektórych barw czystych, o tyle mniej jasnych, że wydają się czarnemi, a takie zmniejszenie się jasności niektórych barw czystych widma ciągłego ma miejsce wtedy, jeżeli światło białe ciała stałego przechodzi przez rozpalone gazy o temperaturze niższej, gdyż wówczas widmo prążkowane tych gazów—*mniej jasne*—pokrywa jaśniejsze widmo ciągłe ciała stałego, tak iż widmo ciągłe występuje w swej jasności tylko w przerwach pomiędzy prążkami widma prążkowanego gazów, a prążki tego ostatniego widma na tle jaśniejszego widma ciągłego wydają się czarnemi. Takie pozornie czarne prążki na widmie ciągłym nazywają się *linjami Frauenhofera*. Linje Frauenhofera są dla gołego oka niewidzialne; można je widzieć i badać jedynie przez lupę lub mikroskop. W *spektroskopach*, t. j. przyrządach do badania widma, widzi się widmo przez mikroskop.

Linje Frauenhofera w widmie słońca świadczą o tym,

że światło białe, wysyłane przez rozpalone stałe (lub ciepłe) jądro słońca, przechodzi przez rozpalone gazy atmosfery słońca i że ta atmosfera jest od jądra słońca chłodniejsza. Linje Frauenhofera widma słońca są widmem atmosfery słońca. Można się o tym przekonać, biorąc widmo atmosfery słońca, mianowicie widmo światła, pochodzącego z samego brzegu słońca. Widmo to składa się z prążków barwnych takich samych, jakiemi są barwy pozornie czarnych linji Frauenhofera na widmie ciągłym słońca. Linje Frauenhofera świadczą też o tym, z jakich gazów składa się atmosfera słońca.

Gdyby atmosfera słońca była gorętsza od jądra słońca, barwy prążków Frauenhofera byłyby nie ciemniejszemi, lecz jaśniejszemi od pozostałych barw widma ciągłego słońca i wydawałyby się nie czarnemi, lecz *białemi*, gdyż wówczas widmo prążkowane atmosfery słońca byłoby nie *ciemniejszym*, lecz *jaśniejszym* od widma jądra słońca. Przy jednakowej temperaturze atmosfery i jądra słońca — linji Frauenhofera nie byłoby wcale w widmie słońca, gdyż oba widma: prążkowane i ciągłe—byłyby *jednakowo jasne* i dla tego pierwsze na drugim nie byłoby wcale widzialnym.

Widma komet są widmami słońca, t. j. widmami światła białego, pokrytemi temi samemi linjami Frauenhofera, jakie występują w widmie słońca,— ale ponadto jeszcze pokrytemi paru (dwiema, trzema) jasnemi linjami poprzecznemi. *Skład słoneczny* widm komet świadczy, że *światło komet jest odbitym światłem słonecznym; dodatkowe zaś jasne linje* — że, oprócz tego światła odbitego, komety *mają jeszcze własne światło*, pochodzące od gazów, gorętszych od padających na kometę promieni światła słonecznego. Gazami temi są przeważnie węglowodory.

Zachodzi teraz pytanie o naturze własnego światła komet, światła *gazów komet*. Otóż badanie wielu komet wykazuje, że *jasne linje* tych widm potęgują się, wzmacniają swą jasność w miarę zbliżania się komet ku słońcu i że wogóle nie są stałemi częściami składowemi widm komet. Znaczy to, że *własne światło komet tak samo jak i odbite powstaje w miarę zbliżania się komet do słońca*, tak iż w oddaleniu od słońca *komety są ciałami zupełnie ciemnemi.* Przyjmijmy to za *siódme* orzeczenie o kometach.

Równocześnie też z jasnemi linjami widm komet powstają i *ogony komet.* Niektóre komety wogóle nie mają jas-

nych linji w swych widmach, nawet w pobliżu słońca. Komety te nie mają też wogóle ogonów. Są to komety bezogoniaste. Zachodzi więc ścisły związek pomiędzy światłem gazów, a ogonami komet, świadczący, że ogony komet składają się tylko z gazów.

Pozatym ogony komet są zawsze zwrócone w kierunku *ściśle* odsłonecznym, t. j. zajmują zawsze położenie na przedłużeniu linji, przechodzącej od środka słońca przez środek komety. Świadczy to, że ogony komet są złożone z materji gazowej, zmiennej, nie stale tej samej, lecz uchodzącej z komet w kierunku odsłonecznym, strumieniem, dającym zjawisko ogona komety. W przeciwnym wypadku, gdyby ogony komet składały się z materji nie przechodzącej przez nie, lecz stale w nich pozostającej, to wobec tego, że komety poruszają się w pobliżu słońca po linjach krzywych, ogony komet musiałyby choć cokolwiek *zdążać za* ich jądrami i wykazywać choć jakiekolwiek skrzywienie. Znaczy to dalej, że słońce działa na gazy komet *odpędzająco* i że w pobliżu słońca gazy z komet ulatują. Komety bezogonowe i bezgazowe są widocznie kometami, z których materja gazowa już uleciała.

Gazy komet są oczywiście *bardzo rozrzedzonemi*. W fizyce znane jest zjawisko *świecenia gazów rozrzedzonych* przy przepuszczaniu przez nie *prądu elektrycznego*. Nasuwa się stąd objaśnienie, że własne światło komet jest *świeceniem gazów komet pod wpływem przechodzących przez nie prądów elektrycznych, wzbudzanych w masie komet przez słońce, jako magnes*. O tym, że słońce działa jak magnes, przekonywa wiele zjawisk na ziemi. Między innemi magnetyzm ziemi jest magnetyzmem, wzbudzanym przez słońce, o czym świadczy rozkład magnetyzmu na ziemi, odpowiadający ruchowi wirowemu ziemi. Komety więc są ciałami prawdopodobnie silnie magnetyzowanemi przez słońce. Magnetyzm komet wzbudza w kometach prądy elektryczne, które powodują świecenie się ich gazów, oraz może właśnie wypędzają te gazy z komet w kierunku odsłonecznym. Może to być *ósmym* orzeczeniem o kometach.

O fizyce komet wiadomym jest jednak jeszcze wiele ponad to, co powiedzieliśmy wyżej, a co poznano na zasadzie analizy spektralnej. Bogaty i płodny materjał do poznania komet dała obserwacja przemian, jakim uległa w niedawnej przeszłości jedna z komet, t. zw. kometa *Biela*.

W r. 1826 dostrzeżono na niebie nową kometę, a w r. 1833, dostrzeżono znów *tę samą* kometę,- bo kometę przebiegającą po tej samej drodze, co tamta. Były to więc dwie obserwacje perjodyczne o krótkim okresie obiegowym, wynoszącym niecałych lat 7. Kometę tę nazwano kometą *Biela*. Za trzecim razem, w r. 1840 zamiast komety Biela dostrzeżono 2 komety, w nieznacznej od siebie odległości, poruszające się po drodze komety *Biela*. Wobec tej ostatniej okoliczności należało przypuszczać, że kometa *Biela* rozpadła się na 2 części. Szczególne to, jedyne w swoim rodzaju zjawisko sprawiło, że w r. 1846 ze szczególnym zainteresowaniem oczekiwano ukazania się komet *Biela*; ale komety te nie ukazały się wcale. Nie ukazały się też one i w terminach następnych, w latach 1853, 1859 i 1866.

W nocy z 26 na 27 listopada 1872 r. ukazał się na niebie niezwykle obfity deszcz gwiazd spadających. Deszcz ten ciągnął się jeszcze, acz słabiej przez parę nocy następnych.

Data powyższa nie pozostaje bez związku z drogą komety *Biela*. Droga ta odznaczała się mianowicie jednym szczegółem specjalnym: jej punkt przysłoneczny przypadał w takiej samej odległości od słońca, jak odległość ziemi i wskutek tego obie drogi, komety Biela i ziemi, przecinały się z sobą wzajemnie, a punkt tego przecięcia, czyli t. zw. *węzeł* tych dróg, przypadał w tym miejscu drogi ziemi, przez którą ziemia przechodzi 27 listopada.

Data powyższa wiąże się z kometą *Biela* jeszcze i przez to, że zgodnie z ukazaniami się tej komety w latach 1826, 1833 i 1840, na tę mianowicie datę przypadłoby przejście jej przez węzeł z orbitą ziemi w r. 1872. Była to więc data, w której powinnoby było nastąpić *spotkanie się komety Biela z ziemią*, gdyby kometa *Biela* nie była zginęła. Zestawienie powyższe nasuwa przypuszczenie o istnieniu związku pomiędzy byłą kometą Biela, a owym deszczem gwiazd spadających. Pozatym jeszcze jedna okoliczność podkreśla ten związek i podkreśla daleko wyraźniej: mianowicie, że drogi, po których przebiegały poszczególne meteory, odpowiadały ściśle drodze komety *Biela*.

Taki sam deszcz gwiazd spadających ukazał się następnie powtórnie 27 listopada po latach 7. Z biegiem czasu zaczął się on ukazywać 27 listopada przez 2, 3 i więcej lat zrzędu, w każdym okresie siedmioletnim, aż wreszcie stał się zjawiskiem corocznym.

Jakiż jest związek pomiędzy temi wszystkiemi zjawiskami i czego opisany ich przebieg dowodzi?

Rozpad komety *Biela*, zaobserwowany w r. 1840, musiał się dokonać dzięki niedostatecznej spójności wewnętrznej komety pod działaniem *siły odkształcającej* ciążenia, a musiał pociągać za sobą stopniowe oddalanie się części rozerwanych od siebie—wskutek różnicy okresów obiegowych tych części, zależnych, jak poucza trzecie prawo Keplera, od odległości tych części od słońca.

Odkształcające działanie siły ciążenia ku słońcu ciał, krążących dokoła słońca, pochodzi stąd, że ciążenie tych ciał ku słońcu jest większe w częściach zwróconych ku słońcu, jako bliższych słońca, niż w częściach od słońca odwróconych, jako dalszych. Działanie to ujawnia się na ziemi w *przypływach i odpływach morza*, oraz w większych jeszcze, znanych meteorologom i ściśle dających się obliczyć przypływach i odpływach atmosfery ziemi. Przez takie *rozciąganie* w kierunku linji dosłonecznej kometa mogła ulec rozerwaniu, a części rozerwane musiały się coraz bardziej od siebie oddalać na przestrzeni ich drogi obiegowej — na zasadzie *trzeciego prawa Keplera.*

Otóż proces takiego rozrywania i rozchodzenia się komety *Biela*, wzdłuż jej drogi obiegowej dokoła słońca, mógł się odbywać w dalszym ciągu i kometa mogła przestać być widzialną wskutek znacznego rozsypania się jej wzdłuż jej drogi. I dopiero, *gdy przejście tej komety przez węzeł z drogą ziemi przypadło w czasie przechodzenia ziemi przez tenże węzeł*, poszczególne części komety, rozsypanej po jej drodze, ujawniły się przy *przechodzeniu przez atmosferę* ziemi, jako *meteory*, w sumie—jako *deszcz meteorów*, biegnących po linjach równoległych, odpowiadających drodze samej komety, czyli *okazały się meteorytami* — t. j. temi „kamieniami", które przebiegają przez atmosferę ziemi, rozgrzewają się w niej i dają zjawisko świetlne *meteorów.*

Wskutek rozciągnięcia się rozsypanej komety *Biela* na znaczną część jej drogi obiegowej, gruzy tej komety musiały przechodzić przez węzeł ich drogi z drogą ziemi przez czas długi. Gdy gruzy te potrzebowały na przejście przez ten węzeł *roku*, ziemia w takim roku nie mogła się z niemi nie spotkać — i tym tłomaczy się powtórzenie się deszczu meteorów po 7 latach; gdy gruzy te rozciągnęły się po drodze obiegowej tak, że potrzebowały na przejście przez węzeł z drogą ziemi przeszło dwuch lat — ziemia musiała spot-

kać się z niemi 2 lub 3 razy podczas tego ich przechodzenia i deszcz meteorów musiał występować przez 2 — 3 lata z rzędu, w ciągu siedmiolecia. W miarę coraz większego rozciągania się gruzów komety *Biela* po ich drodze obiegowej, ziemia spotykała się z niemi w ciągu każdego siedmiolecia coraz więcej razy, aż wreszcie, gdy gruzy te rozciągnęły się na całą długość ich drogi obiegowej, ziemia musi się z niemi 27 listopada spotykać corocznie i deszcz listopadowy meteorów stał się zjawiskiem corocznym.

Okazuje się z tego, że kometa *Biela*, w częściach swych stałych, składała się z mnóstwa meteorytów, które pod odkształcającym działaniem jej ciążenia ku słońcu, oraz trzeciego prawa Keplera rozciągnęły się w *rój meteorytów*, krążących po dawnej jej drodze.

Ale takich *rojów meteorytów*, ukazujących się corocznie i niecorocznie pod postacią gwiazd, spadających w określonych dniach w roku i po określonych drogach, jest znanych bardzo wiele, a między niemi najświetniejszym jest *rój wrześniowy*, ukazujący się pod postacią deszczu meteorów w noce najbliższe do dnia św. Wawrzyńca, skąd same te meteory zwane są: „Łzami św. Wawrzyńca“. Wiele z tych rojów meteorytów daje się powiązać jednością dróg z obserwowanemi kiedyś kometami, a w niektórych z tych rojów znane są takie zgęszczenia, które ukazują się jeszcze w odbitym świetle słońca, jako komety. Okazuje się więc, że *wszystkie roje meteorytów są rozpadłemi kometami*, a znanemi są oczywiście tylko te roje, *które mają węzły z orbitą ziemi*, gdyż wszystkie inne nigdy przez atmosferę ziemi nie przechodzą, a zatym nigdy nie stają się widzialnemi przez dawanie zjawiska meteorów. Wynika z tego, że układ słoneczny jest wprost, jak pajęczyną omotany przez mnóstwo nieznanych nam i nigdy nie mających być poznanemi rojów meteorycznych, bo samych tych rojów, które mają węzły z orbitą ziemi, jedynie nam znanych, jest liczba bardzo duża. A wszystkie te roje są dawnemi kometami, za pomocą siły przyciągania, wyłowionemi z przestrzeni kosmicznej.

Meteoryty ze swej strony dają się zbliska poznać, bo od czasu do czasu spadają na ziemię. Są to masy prawie całkowicie żelazne, z nieznaczną domieszką węgla i niektórych metalów, wielkości bardzo rozmaitej—od drobnych kamyków do kamieni kilku, kilkudziesiąt i kilkusetpudowych.

Wynika z tego, że komety są to olbrzymie kule, złożone z rozproszonych, *a więc krążących* i może na tysiące kilo-

metrów jeden od drugiego odległych kamieni żelaznych, oraz w większości wypadków z rozrzedzonych gazów węglowodorowych w przestrzeniach, oddzielających owe kamienie. Ogólna suma odbić światła słonecznego od tych kamieni daje obraz komety, jako całości; poszczególnych odbić od tych kamieni, nie widać, jako zbyt drobnych. Tym się też tłomaczy, dlaczego komety, jakkolwiek widziane w świetle odbitym słońca nie dają takich faz, jakie dają księżyc i planety. Na obraz komety składa się światło odbite od wszystkich kamieni i dlatego kometa ma zawsze obraz pełni. Skład żelazny tych kamieni tłomaczy wrażliwość komet na pobudzenie magnetyczne ze strony słońca i powstawanie prądów elektrycznych, przechodzących przez gazy komety od kamienia do kamienia. A z tych danych do naszych orzeczeń o kometach przybywa nowe — nazwijmy je *dziewiątym* — że komety są to ciemne, minjaturowe układy kosmiczne, złożone z żelaznych meteorów,—gęsto zapełniające przestrzenie kosmiczne.

Czym zaś są te komety w procesie ewolucyjnym światów i jakie jest ich pochodzenie—na to nauka nie może dziś dać odpowiedzi. Nasz układ słoneczny w ciągłym swym przebieganiu przestrzeni, spotyka je, jako specyficzne twory tej przestrzeni, nie związane z Laplace'owską ewolucją światów. Ale jeżeli ewolucja światów ma być procesem ciągłym, to musi być procesem *kołowym*; musi obok tworzenia się światów, odbywać się też ich rozkład; obok procesów skupiania, muszą się dokonywać i procesy rozpraszania się materji. W kometach widzimy też niewątpliwie proces rozpraszania się materji: w rozpraszaniu się gazów komet, w rozciąganiu się meteorytów komet perjodycznych wzdłuż ich dróg, wreszcie w ścieraniu się meteorytów, przy przebieganiu ich przez atmosfery gwiazd i planet, na pył. Procesy te mają być słabemi, dochodzącemi do nas objawami wielkiego procesu rozprzęgania się światów. A w takim razie komety byłyby szczątkami starych światów, gruzami dawnych indywiduów kosmicznych. Ale ta *dziesiąta* o kometach opinja jest już nie orzeczeniem, jak wszystkie poprzednie, lecz tylko domniemaniem (*supozycją*).

Al. K . . . ol.

PRZEGLĄD.

Nowy miesięcznik litewski.

W Wilnie ukazał się pierwszy numer miesięcznika litewskiego „Visuomenė“ (Społeczeństwo). W artykule wstępnym redakcja nowego pisma stawia za główne swe zadanie zespolenie w pracy społeczno-oświatowej rozproszonych sił inteligienckich demokracji robotniczej, konstatując nieuniknione ze względu na obecne ustosunkowanie się sił społecznych zmniejszenie się na Litwie jej wpływów. Ilustrację tego stanowi statystyka rozpowszechnienia pism Naujoji Gadynė w 1906 i Skardas w 1907 r. (art. „Ze statystyki naszej „lewicowej“ kultury“), wykazująca zmniejszanie popytu na pisma społeczno-demokratyczne. Stosunkom ogólno-państwowym poświęcony art. „Myśli o chwili obecnej“, w którym autor stara się udowodnić, że jakkolwiek reakcja opiera się na dwu chwilowo sprzymierzonych przeciwko demokracji ludowej warstwach społecznych, agrarjuszach i przemysłowcach, które przystosowują się do wymagań rządu (nie odwrotnie), zrozumiały wobec słabego rozwoju burżuazji pod względem społecznym i politycznym sojusz ten nie może być trwały. „Stosunek“ rządu i burżuazji do klasy robotniczej scharakteryzowany w artykule „Kwestja robotnicza“ w r. 1909. Stosunki litewskie omawia art. „Niby przegląd“, w którym scharakteryzowano pracę „pozytywną“ sfer biurokratycznych na Litwie (kolonizacja Litwy przez Rosjan, projekt samorządu ziemskiego, neoslawizm wileński) i sprzymierzonych ze sobą klerykałów i „narodowców“ litewskich. Artykuły: „O walce z alkoholizmem“, „Rok 1831 na Litwie i księża, „August Bebel“, „Zjazd pruskiej socjalnej demokracji“, krytyka 3-tomowej pracy J. Šliupas'a „Lietuvių tauta senovėje ir šiandien“ (Naród litewski w starożytności i obecnie), wiersz „Pożegnanie“, obrazki z życia więziennego p. t. „Pan naczelnik“ dopełniają treści numeru.

Dyskusja w kwestji żydowskiej w Polskim Zjednocz. Postępowym.

Nasz korespondent warszawski pisze:

Dyskusja w kwestji żydowskiej, tak głośna niedawno, przycichła w ostatnich czasach w prasie warszawskiej, zepchnięta na drugi plan przez inne aktualności, przeniosła się natomiast do zacisznych siedzib nielicznych stowarzyszeń, które jeszcze możność jakiej takiej dyskusji w sprawach społecznych posiadają. Przed

kilku dniami rozprawiano nad nią, bez wielkiego zresztą ładu i składu, w Polskim Stowarzyszeniu Przyjaciół Pokoju, wczoraj zaś Polskie Zjednoczenie Postępowe poświęciło jej drugie z rzędu posiedzenie dyskusyjne, i zamierza za dwa tygodnie rozprawy na ten temat dalej prowadzić. Z posiedzenia tego chcemy w kilku słowach zdać sprawę.

Zgromadzenie było dość liczne, szczelnie zapełniając szczupły lokal Zjednoczenia. Było do przewidzenia, ze względu na zapowiedzianą obecność p. B. Grossera, autora głośnego artykułu w sprawie żydowskiej, w „Wiedzy" drukowanego, że odbędzie się utarczka pomiędzy asymilatorami i ich przeciwnikami. Obecny był także i zapisał się do głosu red. „Myśli Niep." p. A. Niemojewski. Prawdopodobnie oddźwiękiem dawniejszych nieukontentowań było żądanie, wyrażone przez jednego z członków Zjednoczenia, żeby niedopuszczone było odczytywanie tekstów z książek (o ile można było zrozumieć, chodziło o talmud i inne święte księgi żydowskie). Zdaje się, że przychylenie się przewodniczącego do wniosku, krępującego poniekąd wolność dyskusji, spowodowało p. Niemojewskiego do opuszczenia zebrania przed jego zakończeniem i bez zabrania głosu.

Z mówców, zapisanych na liście, pierwszy zabrał głos p. N. Likiert i zaraz na wstępie, zaznaczywszy swoje stanowisko, jako zwolennika asymilacji, zaprotestował przeciwko głoszeniu jej bankructwa. Skreślił dalej dzieje asymilacji od czasu reform Wielopolskiego, jej nadzieje i zawody, popierając swój wywód wspomnieniami osobistemi i cytatami z listu Orzeszkowej. Mówiąc o znaczeniu szkoły, jako czynnika asymilacyjnego, wykazywał, że czynniki, poza szkołą działające, niedostatecznie ją popierały. Prasa traktowała asymilację obojętnie, społeczeństwo polskie odwracało się od Żydów zasymilowanych. Dla asymilacji nic nie zdziałały kobiety polskie, za wyjątkiem Orzeszkowej. Później nastały czasy jeszcze gorsze: szkoła apuchtinowska, jeszcze większe zobojętnienie społeczeństwa do kwestji żydowskiej, zjawienie się sjonizmu i nacjonalizmu żydowskiego. Mówca przyznaje, że asymilacja w głąb nie poszła, że jej zwolennicy nie szli do mas ludowych, ale przypisuje to temu, że warunki ich do tego nie zachęcały. Przechodząc do teraźniejszości, mówca uważa żargon za największego wroga asymilacji, gdyż ci, co się nauczą w żargonie zaspakajać swe potrzeby umysłowe, do polskości już nie przejdą. Mówiąc o Żydach napływowych z Rosji, mówca tłumaczy ich odrębność wrogim do nich stosunkiem nietylko społeczeństwa polskiego, ale i Żydów polskich. W tych wypadkach kiedy przybyszów nie odpychano, oni asymilowali się. W zakończeniu p. L. wyraził swe przeświadczenie, że asymilacja w końcu zwycięży.

Wywody drugiego mówcy p. Heimana zgadzały się z tym, co mówił p. L. Podkreślał on pomiędzy innemi ujemny wpływ na asymilację panującej w polskim społeczeństwie opinji, że tylko taki Żyd staje się prawdziwym Polakiem, który przyjmie katolicyzm. Pozatym nawoływał polskie społeczeństwo do pozbycia się dawnych uprzedzeń względem Żydów, do przygarnięcia ich, jako dobrych synów tej ziemi i t. d., i również wyraził przekonanie o ostatecznym zwycięstwie asymilacji.

Główny interes zebraniaześrodkował się na przemówieniu p. Grossera. W polemice—mówił mówca— przeciwko niemu prowadzonej, zarzucano mu nacjonalizm. W istocie nie on jest nacjonalistą, nacjonalistami są ci, co go tak nazywają. Są nacjonaliści czystej wody, i są nacjonaliści połowiczni, chwiejni; do tych ostatnich należą postępowcy i asymilatorzy. Ci, co mówią, że asymilacja nie zbankrutowała, żadnego na to dowodu nie przytaczają. Natomiast charakterystyczne jest, że nawet asymilatorzy dziś uznają żargon za środek konieczny dla oddziaływania na

masy żydowskie i chcą wydawać gazetę polsko-żargonową. Niektórzy dowodzą, że asymilacja jest koniecznością historyczną i ekonomiczną, inni—że żargon jest językiem przejściowym, który musi z biegiem czasu ustąpić miejsce innemu. To może być rzeczą dociekań socjologicznych i lingwistycznych, ale niema nic do czynienia z kwestją praktyczną, konkretną, o którą właśnie chodzi: czy potrzeby, jakie masy żydowskie mają w chwili obecnej, mogą one zadawalniać w języku żydowskim? To, zdaniem mówcy, nie ulega wątpliwości. Jeżeli w warszawskiej gminie żydowskiej będzie wprowadzone powszechne głosowanie, niewątpliwie masy żydowskie zażądają wprowadzenia szkól żydowskich. Przeciwnicy żargonu mówią o jego nieestetyczności, o kulturze żydowskiej mówią, że jest tylko ludowa. Z podobnemi zarzutami trzeba obchodzić się ostrożnie. Odrodzenie się języków i narodów upośledzonych jest faktem, nie ulegającym zaprzeczeniu. Jeżeli powstala kultura litewska i rusińska, to dla czego nie może powstać żydowska? Zwłaszcza niewłaściwe jest lekceważące traktowanie kultury ludowej ze strony demokratów. Jeżeli mówią, że ruch żydowski chce stworzyć naród w narodzie, że kopie przepaść pomiędzy ludem polskim a żydowskim, to na to odpowiedzieć można, że przepaść taka zawsze istniała. Masy żydowskie zawsze żyły życiem odrębnym, udziału w historji polskiej nie przyjmowały; asymilacja wcale na nie nie oddziaływała, zasymilowała się tylko inteligiencja. Przed kilku laty proletarjat żydowski wystąpil wspólnie z polskim, ale stalo się to pod innym sztandarem. Mówi się ciągle o Żydach jako obcych przybyszach, a o ziemi tej, że jest polską. W ten sposób na ziemię przenosi się pojęcie prywatnej własności. Tymczasem pod wpływem nowoczesnych warunków zrodziły się zupełnie inne pojęcia o stosunku narodu do ziemi. O tym zagranicą istnieje już cała literatura, która dotąd w Polsce zupełnie jest nieznana. Koniec swego przemówienia p. G. poświęcił polemice z A. Świętochowskim, który w „Prawdzie“ jaskrawo zasadę polskości w stosunku do ziemi wypowiedział.

Następny mówca p. Zubowicz, w sposób więcej gorący niż logiczny, oburzał się na rzekomą obrazę narodowości polskiej przez p. Grossera, której dopatrzył się w jego ściśle odpowiadającej rzeczywistości charakterystyce burżuazji polskiej. Zdaniem mówcy, ponieważ burżuazja jest częścią narodu, więc kto jej ubliża znieważa naród cały - (przypominają się słowa Krzywickiego: „Jeżeli dobrze poskrobać postępowca, można domacać się endeka“). W rzeczowej części swego przemówienia p. Zubowicz stwierdzał, że asymilacja faktycznie istnieje i znaczne robi postępy—ale w kierunku rusyfikacji, czego dowodem są stosunki w Suwalskim i Łomżyńskim.

Przed zakończeniem dyskusji, odłożonej do następnego posiedzenia—odpowiadając p. Langemu, p. Grosser oznajmil, że zdaniem jego w przyszlym samorządzie, za podatki, ściągane od ludności żydowskiej, powinny być zakładane szkoły dla niej dostępne i pożądane, t. j. żargonowe, i dodał, że wszelkie próby przeszkodzenia ludności żydowskiej w korzystaniu z jej języka równają się usiłowaniu odsunięcia tej ludności od życia publicznego.

Dyskusja była bardzo ciekawa i zasługiwałaby na dłuższe omówienie. Tutaj możemy tylko powiedzieć, że przemówienie p. Grossera, mimo niezwyklej jego siły krasomówczej, nasuwa podobne zastrzeżenia i wątpliwości, jak artykuł jego w „Wiedzy“ zamieszczony. Dziwimy się przedewszystkim zlekceważeniu przez niego „socjologji“ i „lingwistyki“. Zdaniem naszym, tylko zbadanie dzialania warunków społecznych, ekonomicznych i politycznych na życie masy żydowskiej — zbadanie, uwzglę-

dniające nietylko stan rzeczy w danej chwili, ale też i ewolucję w tych stosunkach — może dostarczyć trwałej podstawy dla wytworzenia sądu o kwestji żydowskiej. Nie uważamy p. G. za utopistę, sądzimy, że powinien on się liczyć z tendencjami rozwoju społecznego. Stosunki „faktyczne“ i „konkretne“, które p. G. na pierwszy plan wysuwa, są zbyt kruchą podstawą do zbudowania programu. Następnie, podzielając to, co p. G. mówił o niewłaściwości „estetycznej“ krytyki żargonu i kultury żydowskiej, sądzimy jednak, że krytyczna ocena jest tu na miejscu i zasadom demokratyzmu wcale nie przeczy. Nie robimy sobie bożka ani z narodowości, ani z „ludowości“. Nie o estetykę chodzi, ale o trwałość, odporność, zdolności rozwojowe. Z tego punktu widzenia uważamy analogje przez p. Gr. przeprowadzone pomiędzy Litwinami i Rusinami z jednej strony, a Żydami z drugiej, za chybione, co tłumaczymy ignorowaniem przez niego tak ważnego czynnika rozwoju narodowego, jakim jest terytorjum. Nie uwzględnia dalej p. G., że Litwini i Rusini są narodami bądź co bądź rozwijającemi się ekonomicznie, tymczasem gdy Żydzi u nas w masie przeżywają okres ekonomicznego upadku i rozkładu.

Upadek ten, wywołany wzrostem kapitalizmu, zwiększeniem się udziału w przemyśle i handlu ludności polskiej, rozwojem kooperatyw, pociąga za sobą z jednej strony większą emigrację żydowską, z drugiej— konieczność przystosowania się do nowych warunków, co może odbywać się tylko kosztem kulturalnej odrębności. Czynnik ekonomiczny, ignorowany w ostatnich dyskusjach, gra bodaj najważniejszą rolę w kwestji żydowskiej. Szczupłe ramy korespondencji nie pozwalają nam obszerniej nad tym się zastanowić, poprzestajemy więc na powyższych uwagach.

T.

Z wygnania.

Z gub. Wołogodzkiej piszą do nas:

Położenie wygnańców, znajdujących się w pow. Ust'sysolskim gub. Wołogodzkiej, pogorszyło się w ostatnich czasach. Dawniej otrzymywali oni zapomogę na życie 8 rb. 60 kop. miesięcznie, a teraz tylko 7 rb. 70 kop. Zmniejszono także zapomogę na ubranie. Dawniej na ubranie zimowe wydawano 33 rb. a obecnie od 25 do 27 rb. To, co się dostaje w żaden sposób nie wystarcza na życie, trzeba dokładać z ubraniowego. Gdy się otrzymuje te parę rubli, niewiadomo na co ich wpierw obrócić: z butów wychodzą palce, ubranie podarte, a nowego niema zaco kupić, to też większa część wygnańców chodzi obdarta.

Dawniej zesłańców było około 500, a obecnie do 300, z nich Polaków 25-ciu. Mieszkanie na jednego człowieka kosztuje od 2 rb. do 4-rech miesięcznie, pud kartofli 40 do 50 kop., funt mięsa wołowego 12 kop., wieprzowiny 15 kop., funt cukru 17 kop., jajka 10 sztuk 30 kop., kwarta mleka 6 kop., pud mąki razowej 1 rb. 45 kop., funt czarnego chleba 3 i pół. kop., białego 6 kop.

Policja wywiesiła ogłoszenie, że jak kogo nie będzie o godzinie 12-tej w nocy w domu, to będzie on pozbawiony zapomogi i wysłany do oddalonej wsi. W miejscu żadnej roboty niema, a oddalić się nie wolno. Sześciu zesłańcom dla tego, że byli zagranicznemi poddanemi, przestano wypłacać zapomogę; zostali oni porozsyłani po wsiach o 100 wiorst odległych.

Mieszkańcy tutejsi są to tak zwani Zyrjanie. Jest to lud tak ubogi, że nawet nie posiada własnej literatury; wsie mają pobudowane bardzo duże, od 3 od 6-ciu wiorst długości. W każdej większej wsi jest cerkiew.

Z pobliskich wsi w każde większe święta, zbiera się gromadami młodzież, upija się i wtedy nikomu nie dają spokojnie przejść. Niedawno pobili dwuch zesłańców tak, że jeden kilka tygodni leżał w szpitalu.

Warunki z każdym dniem się pogarszają, to też niedawno dwuch zesłańców chciało się otruć, uratowano ich jednak. Nie koniec na tym. 3 listopada 1909 r. młoda 20-letnia kobieta, rodem z gubernji Kijowskiej, odebrała sobie życie, pozostawiwszy kartkę, żeby nikogo nie winić o jej śmierć, cieszyła się ona wśród zesłańców szeroką sympatją.

Różne wiadomości.

— Zawieszenie „Gońca Wileńskiego“. Izba sądowa postanowiła zawiesić wydawnictwo „Gońca Wileńskiego“ do czasu rozstrzygnięcia sprawy, wytoczonej przez prokuraturę z powodu artykułów p.t. „W oczekiwaniu jutra“, zamieszczonych w №№ 22, 23 i 24 tego pisma.

— Nowy dziennik w Wilnie. W Wilnie zaczęło wychodzić nowe pismo codzienne p. n.: „Goniec Codzienny“. Jako redaktor odpowiedzialny i wydawca podpisuje pismo p. Bronisław Pawłowicz.

— Zjazd „Przyszłości“. Zarząd towarzystwa abstynenckiego „Przyszłość“ oznajmia, że zjazd delegatów Tow. odbędzie się w d. 22, 23 i 24 kwietnia r. b. w Warszawie. Informacji udziela sekretarjat Tow. (Bracka 18).

— Przeciwko związkom i stowarzyszeniom. Wobec wydanego niedawno okólnika ministra spraw wewnętrznych, który to okólnik dotyczy legalizacji różnego rodzaju towarzystw i organizacji na kresach, powstających na mocy tymczasowych przepisów o stowarzyszeniach i związkach z dn. 17 marca 1906 r., nad działalnością Towarzystw, zwłaszcza zaś nad oddziałami prowincjonalnemi tychże, wzmocniony zostaje nadzór policyjny. Naczelnicy powiatowi otrzymali już polecenie. aby wzmocnili nadzór nad Towarzystwami takiemi w powiatach. Jednocześnie w celu wyjaśnienia. czy Towarzystwa działają zgodnie z ustawą i czy nie posiadają ukrytych zamierzeń, w niektórych z nich ma być dokonana ścisła rewizja, zwłaszcza podobno w tych towarzystwach, które nie posyłają sprawozdań do komisji gubernjalnych, przez co zle są notowane u władz miejscowych.—Do dzienników petersburskich donoszą z Kijowa, że komisja gubernjalna do spraw związków i towarzystw, opierając się na znanym cyrkularzu ministra spraw wewnętrznych o stowarzyszeniach obcoplemiennych, odmówiła zalegalizowania ustawy ukraińskiego towarzystwa współdzielczego. W Rydze, w miejskiej szkole realnej, powstało kółko trzeźwości; władza naukowa odmówiła zatwierdzenia.

— Z sądu rozjemczego w sprawie zatargu mularskiego w Warszawie. Według orzeczenia sądu rozjemczego pomiędzy przedsiębiorcami a robotnikami budowlanemi, warunki pracy, określone przez sąd, obowiązywać mają obie strony do d. 1 lipca r. 1912, ilość zaś wytwórczości wynosić powinna 75 cegieł na godzinę. — Za jedną z przyczyn, dla których przemysłowcy budowlani żądają przedłużenia dnia roboczego w przemyśle budowlanym, podawano niemożność wykończenia na termin budowy domów. Wobec tego obradujący obecnie sąd rozjemczy zajął się rozstrzygnięciem pytania, w jakim terminie może być wzniesiona kamienica. W przypuszczeniu, że na budowę 3-piętrowej kamienicy z oficynami potrzeba 1 i pół miljona cegieł i że jeden robotnik w ciągu 8-godzinnego dnia roboczego układa 600 cegieł, obliczono, że 35

robotników wybuduje kamienicę 3-piętrową w 74 dni; ponieważ zaś tynkowanie zajmuje jeszcze miesiąc, więc ogółem budowa kamienicy nie powinna trwać dłużej nad 4 miesiące.

— Powrót zesłańców administracyjnych. W „N. Lodz. Ztg.“ czytamy: Po zniesieniu stanu wojennego w Królestwie Polskim powróciło zarówno do Warszawy jak Łodzi i innych miast bardzo wiele osób, skazanych w swoim czasie na zesłanie, skutkiem czego zdarzyły się znów liczne wypadki napadów i zakłócenia spokoju. Biorąc to pod uwagę władze — jak donosi „Swob. Słowo“ wydały polecenie, aby osoby, przyłapane po powrocie z zesłania na jakimkolwiek przestępstwie, wysyłane były ponownie z granic Królestwa Polskiego na cały czas trwania stanów wyjątkowych.—Warsz. „Kur. Por.“ donoszą z Łodzi: Donosiliśmy w swoim czasie, że administracje fabryczne nie przyjmują do fabryk robotników, którzy powrócili z zesłania terminowego, powołując się przytym na nieistniejące rozporządzenie. Obecnie od tej zasady odstąpiono w kilku fabrykach i rozpoczęto przyjmowanie zesłańców.

— Kara prasowa. Gubernator chersoński skazał na grzywnę w wysokości 500 rb. charkowską gazetę zawodową „Trud“ za przedrukowanie wiadomości o zamknięciu związku zawodowego robotników polskich.

— Z chińskiego pogranicza. Pisma rosyjskie donoszą, że na zachodnim brzegu Ussuri przy ujściu jej do Amura, w Suj-Juan-Czżeń, Chiny budują cały szereg silnych fortyfikacji i jednocześnie zaludniają całe pogranicze rosyjskie żołnierzami zapasowemi. Każdy taki osiedleniec otrzymuje działek ziemi, dom mieszkalny, wszystkie potrzebne statki, narzędzia oraz 62 lany gotówką. Przesiedlaniem żołnierzy zajmuje się towarzystwo prywatne, które otrzymuje jednak fundusze z kasy państwowej i jest kierowane przez ministrów. Bogatsi Chińczycy również popierają towarzystwo. Kupcy z Kantonu złożyli 9 miljonów lan na cele zaludnienia żołnierzami zapasowemi pogranicza rosyjskiego.

— Spis ludności w St. Zjedn. Am. Półn. Dn. 15 kwietnia b. r. rozpocznie się w Stanach Zjednoczonych ogólny spis ludności. Rządowe biuro statystyczne w Waszyngtonie, jak donosi „Kurjer Polski“, wychodzący w Milwaukee, wydało rozporządzenie w d. 16 lutego b. r., w którym określa sposób w jaki ma być przeprowadzony spis ludności napływowej, a więc nieamerykańskiej. O ludności polskiej powiada owo rozporządzenie: „Co do osób mówiących po polsku, lub podających się za urodzonych w Polsce, która już nie jest krajem niezależnym, spisujący ma zapytać czy miejscem urodzenia jest, jak się mówi niemiecka Polska, austrjacka Polska, lub rosyjska Polska, i musi zapisać odpowiedź jak następuje: Poland (Ger.), Poland (Aust.), lub Poland (Rus.)“. Wymieniony dziennik wzywa polaków, żeby pod żadnym warunkiem nie podawali Austrji, Niemiec lub Rosji, jako miejsca swego urodzenia, ale trzymali się powyższego przepisu. Statystyka ta co do Polaków i tak nie będzie dokładna, gdyż Polacy urodzeni w Ameryce są uważani za amerykanów. Przy rubryce „język“. Polak, umiejący po angielsku, zapisany będzie jako mówiący po angielsku, a tylko wtedy, jeżeli włada jedynie językiem polskim, język ten zostanie w rubryce zanotowany.

Nowe książki.

L. Andrejew: „Opowieść o siedmiu powieszonych". — A. Strug: „Jutro". — T. Filipowicz: „Djalogi o życiu i śmierci".

Stany świadomie przedśmiertne są źródłem tylu i tak bogatych przeżyć wewnętrznych, tylu i tak znacznych odchyleń od zasadniczych linji życia, iż nic dziwnego, że pochłaniały tylokrotnie uwagę badaczy-psychologów i wyobraźnię poetów-malarzy duszy ludzkiej.

I ci ostatni może tu mają więcej do powiedzenia.

Stany to nazbyt zachłanne, nazbyt silnie ogarniające wszystkie władze psychiczne człowieka, by „mędrca szkiełko i oko" wystarczyć mogły zupełnie dla ich zbadania. Intuicji, przeczuwania potrzeba tu nadewszystko, a gdzież ich szukać, jeśli nie u poetów.

A cóż dopiero, gdy świadomość zbliżającego się końca nie wynika z konieczności wewnętrznej, gdy jest narzucana brutalną ręką i gdy śmierć ma być zadana w chwili najpełniejszego uświadomienia sobie własnej istoty, największego rozgwaru wypadków, znamionujących może lepszą przyszłość.

W takich chwilach godność i spokój wobec majestatu śmierci zachować mogą jeno ludzie związani z ideą, dla której giną, miłością fanatyczną, rodzicielską lub dziecinną. Wszelki inny stosunek do idei, oparty na uznaniu jej racjonalności lub na fikcji ukochania, które jest jeno jednym z wielu ukochań w życiu, może w najlepszym razie być przyczyną dobrego „trzymania się"...

Takiemi właśnie usymbolizowaniami tych rozmaitych stosunków do idei w momencie przedśmiertnym jest pięciu „bohaterów" Andrejew'owskiej „Opowieści o siedmiu powieszonych".

Takim ojcem idei jest tu Werner, człowiek o obliczu „zamkniętym jak głuche drzwi", pięknym, jak noc księżycowa gdzieś na brzegu południowego morza, natura dumna i nieustraszona, wszechwładny pan swej woli; niby to kiedyś stracił szacunek dla siebie i dla sprawy pod wpływem zabójstwa prowokatora, ale z organizacji nie wystąpił, niespokojny o losy tego ukochanego przez siebie dziecka. Wobec śmierci najmniejszego lęku nie czuje; wyrok nie przerwał mu rozgrywanej od pierwszych dni więzienia partji szachów.

Matką jest tu Tania Kowalczuk. Przywiązanie jej do idei mniej abstrakcyjne, bardziej „zosobione“, jak wszelkie macierzyństwo, pochłania najzupełniej całą treść jej ducha, każe mu się wypowiadać niejednokrotnie w rzeczach drobnych, małostkową troskliwością tchnących; lecz jednocześnie z jakim przedziwnym spokojem i odwagą przystępuje ona do rzeczy największych! Przed wyprawieniem towarzyszów na akt terorystyczny z troskliwością uprzednio ich karmi, siedząc w więzieniu niepokoi się bardzo, że jednemu z nich zabraknie może tytoniu, mocnej herbaty, do której tak przywykł, lecz w kilka dni potym wyprawia wszystkich parami na śmierć, sama idzie pod szubienicę na końcu jedna.

Ale typem najbardziej pociągającym z nich wszystkich jest chyba Musia, to dziecko idei, w którą wierzy wiarą ślepą fanatyczną, której wielkość wielbi bezgranicznie. Taka maleńka o cienkiej delikatnej szyjce, o dumnych czarnych oczach, obliczu zmizerowanym i bladym, „ale nie tą martwą bladością, a ową szczególną gorącą, kiedy w człowieku jak gdyby pali się olbrzymi potężny płomień, który czyni ciało przezroczystym i świecącym jak cienka saska porcelana“ — w chwilach powyrocznych biada wciąż tylko nad tym, że tak mało uczyniwszy, nie godna tej promiennej aureoli bohaterskiej śmierci, jaka za chwilę ma otoczyć jej skromną głowę.

Sieroża i Kaszyryn to idejowcy raczej z głębokiego przekonania: po uświadomieniu sobie grozy chwili zajęci są już tylko stłumianiem w sobie lęku przedśmiertnego w imię godności raczej osobistej, nie idei. Dwaj pozostali z „siedmiu“— „rinaldo-rinaldinowaty“ Cyganek, co wsiadając do „czarnej“ karety woła z brawurą: „karetę hrabiego Bengalskiego“ i dziki Janson, co bezprzytomnie powtarza wciąż, że go wieszać nie trzeba—to już tylko materjał okazowo-porównawczy.

Oto i cała galerja typów Andrejewowskiej „Opowieści“.

Czy „typów“? — może raczej mistrzowsko-literackich symbolów poszczególnych uczuć, i to jest właśnie pod pewnym względem słabszą stroną „Opowieści“ w porównaniu z takim „Jutrem“ Struga, tą przedziwnie drobiazgową artystyczną analizą psychologiczną ostatniego dnia przed egzekucją. Może tu tylko zbytnio wytrzymane są poszczególne stany, nadto mało rwania i spazmu duszy. Daje to możność cyzelowania szczegółów, zaciera jednak całość.

Obie te książki tak bardzo warto przeczytać i w szczególności dziś jeszcze, gdyśmy się z tą najpotworniejszą bru-

talnością tak bardzo otrzaskali i tak słabo nawet i wewnętrznie reagujemy na nią.

Bardziej one nas nauczą wielbić śmierć bohaterów, wierzyć w jej konieczność i wielkość, aniżeli choćby ogólniki, zawarte w „Djalogach o życiu i śmierci“ — Filipowicza. Te tak mało przekonywujące, a przedewszystkim tak bardzo nie nowe wywody Bronisława (broń sławiącego) i podobnaż replika na nie Mirosława (mir — pokój sławiącego) każą doprawdy poważnie zastanowić się nad tym, dla kogo zostały przeznaczone. Jeżeli dla myślących „inteligientów“, toć chyba zbyt mało mówiące, jeżeli dla „proletarjatu“ myślącego, to nazbyt mgliste i niezrozumiale.

Swen.

„Uczynek wyrastający z rozpaczy“.

(Józef Katerla „Róża“).

(Ciąg dalszy).

Zwalniając lud od walki społecznej — Czarowic go postawił *w warunki, uniemożliwiające wprost zrozumienie potrzeby oświaty.* Jeżeli sięgniemy wzrokiem do społeczeństw zachodnio-europejskich, zobaczymy, że potrzebę oświaty robotnik zrozumiał stosunkowo dość późno, nie wcześniej niż walka społeczna postawiła go oczy w oczy z tą potrzebą, że włościanin zachodnio-europejski zrozumiał to jeszcze później. I gdyby w rzeczywistości było możliwym usunięcie ludu od walki społecznej, gdyby było możliwym zwalenie tej walki na barki jednostek — lud nigdy, bodaj, nie zrozumiałby słodyczy oświaty, powiem więcej — lud by się wcale nie rozwijał, a coraz więcej tępiał; — i wszelka szkoła, nie mówiąc już o takiej, jaką wymarzył Katerla, byłaby utopją.

IV.

Można do fantazji i cudowności uciekać się, gdy się chce zrobić coś w rodzaju doświadczenia nad duszą ludzką,

postawić ją w wyłączne warunki i podpatrzyć to, co ta dusza w tych warunkach przeżyje— jak to np. uczynił Żuławski w powieści swojej na „Srebrnym Globie“, ale nie można na przypadku i cudzie budować ewangielji przyszłości.

A jednak tak jest z Katerlą. I to najwymowniej świadczy, że z rozpaczy i szału i beznadziejności buduje on swój dramat. Wszystką nadzieję położył w „uczynku, wyrastającym z rozpaczy“, wszystką wiarę zbudował na przypadku, na ślepym trafie, i całą sprawę oddał w ręce ludzi przypadku. Ani Czarowic, ani Dan, ani Krystyna nie są ludźmi, których „ta ziemia wydała“, naturalnie nie w literalnym znaczeniu. Są oni dziećmi inteligiencji— warstwy, jakoby ponad społeczeństwem, poza walką klas żyjącej. I nie zdobyli się na przełamanie siebie, na wejście w życie realne, na wybranie sobie w nim stanowiska. Czarowic do ostatka stoi ponad społeczeństwem, marzy o harmonji wewnątrz narodu, nie rozumie, nie chce i nie może zrozumieć istoty procesu dziejowego. Jego udział w ruchu rewolucyjnym jest czysto uczuciowym, na poczuciu niesprawiedliwości i krzywdy i na litości opartym, ciągle chce działać *dla ludu, ale bez ludu*, ciągle chce ten lud pouczać i wychowywać, ani na chwilę *nie staje się jednym z tego ludu, ani na chwilę nie przestaje przeciwstawiać się ludowi*. Wynalazca Dan jest to, wogóle, bardzo słabo narysowana postać, ale i w nim głównym czynnikiem jest właśnie uczucie — do tego stopnia, że najskuteczniejszym dowodem, który go skłania do użycia swego przyrządu, jest czysto uczuciowy—i, w dodatku, zupełnie przypadkowy, nastrojowy. Decyduje o wszystkim wspomnienie, że w chwili próby przyrządu stoi on na drodze, po której szedł przez Alpy dawno w grobie spoczywający Suworow.

Krystyna... — ale Krystyna sama—mówi, że spodobało się jej nie *to, co Czarowic robił, ale jego los*. Sama mówi, że zakochała się w bohaterstwie Czarowica, w jego cierpieniu, w jego roli potępionego przez wszystkich. Sprawiało jej niewymowną rozkosz zaciskać zęby i wsłuchiwać się w obelgi, słowa politowania oburzenia i urągowiska, spadające na Czarowica. Prawda, obiecuje mu Krystyna, że teraz już go nie zawiedzie, że będzie z nim zawsze i wszędzie— chociażby ich przestwory dalekie dzieliły. Ale nie jesteśmy pewni, czy to— to samo uczucie, które odczuwała względem bandyty, wleczonego przez 5-ciu ludzi na gilotynę. Czy to nie jest to uwielbienie do siły—złej, czy dobrej, byle potężnej,—do siły ciała czy ducha, która jest dziś tak powszechnym zjawiskiem

u biednych zdenerwowanych, wycieńczonych, zwyrodniałych neurasteników płci obojga? I mimowoli przychodzi do głowy myśl, że jeśli Krystyna jest kobietą nowoczesną, dekadentką, nie jest w żadnym razie kobietą przyszłości, że jeśli są u niej jakieś zarodki tej kobiety przyszłości — to tak nikłe, że ledwo się wyczuć dają.

Czyż fakt, że czyn swój Katerła powierzył takim ludziom nie świadczy o ostatecznym zwątpieniu, o jedynej ucieczce — wierze w cuda? Bo wszak, jeśli się ma stać cud, to się i tak stanie, to już zupełnie wszystko jedno, jacy ludzie będą wykonawcami tego cudu. Czyż, gdyby rozpacz nie przesłaniała oczu autora, nie znalazłby on przynajmniej innych ludzi, jeśli nie innych dróg? Gdzież się podziały chociażby „Siłaczki“ i „Judymowie“ *), Joaśki wreszcie; gdzież jest ów o jasnych oczach młodzieniec, który przychodzi pożegnać się z trupem inżeniera Korzeckiego, który wśród burzy i zawieruchy przenosi „sukno szwarcowane“ przez granicę, z narażeniem wolności i życia; gdzie tylu, tylu innych, których życie tworzy, a których sylwetki literatura polska podaje od czasu do czasu?

V.

Chęć zwolnienia ludu od udziału czynnego w pracy społecznej, od ponoszenia trudów walki, od składania nieraz nadludzkich ofiar, doprowadza, jak już zaznaczyliśmy, do tego, że wszelkie hasła jakby zamierają w powietrzu, wszelkie prace dla ludu podjęte stają się jałowemi i w niwecz, w ułudę obracają się najtęższe wysiłki i bohaterstwa.

Postęp społeczny zawsze w każdym okresie polegał na przeobrażeniach, które się dokonywały w masach, i bohaterowie byli tylko wyrazem tych przeobrażeń. Najwięksi z bohaterów ludzkości byli zawsze tylko synami nieodrodzonemi swego czasu i swego społeczeństwa. Jeśli zwrócimy się do społeczeństw współczesnych — ta prawda stanie się dla nas jeszcze oczywistszą i to dla tego, że życie społeczne staje

*) „Siłaczka“ i „Ludzie bezdomni“ Żeromskiego. Mówię „chociażby“, ponieważ uważam, że i w nich jeszcze było zbyt dużo psychologji inteligienckiej, że dużo musieli w sobie przebudować i odmienić. Ale oni mogli to jeszcze zrobić—mieli czas: to nie byli przecie wykonawcy czynu ostatecznego, jakim Katerla chce widzieć Czarowica, jeno pierwsze jaskółki.

się coraz bardziej świadomą akcją. Urządzenia społeczne współczesne już wymagają i przypuszczają z góry w członkach społeczeństwa duży zapas świadomości i przygotowania do tego życia. Jeżeli weźmiemy najprostszą i najbardziej rozpowszechnioną instytucję społeczną - chociażby fabrykę—to z łatwością ujrzymy, że dojść do tych form, jakie dzisiaj posiada, mogła ona o tyle tylko, o ile były w społeczeństwie pewne warunki, a mianowicie: pewne minimalne przyzwyczajenie do systematycznej pracy, pewne poczucie dyscypliny, pewna sprawność i inteligiencja robotnika. I jeżeli porównamy fabryki angielskie z rosyjskiemi (umyślnie biorę Rosję, a nie Królestwo,- żeby widoczniejszą stała się różnica), to zobaczymy, jak bardzo od rozwoju i przygotowania zależy stan i charakter fabryki. Społeczne urządzenia przyszłości, oparte na zasadzie głęboko demokratycznej, wymagają od jednostki całej możliwej pełni świadomości. Czy możemy sobie wyobrazić chociażby kooperatywy, oparte na ludziach, którzy nie rozumieją zasad kooperatyzmu i jego celów, ludziach, nie przyzwyczajonych do wspólnej działalności, pozbawionych organizacyjności i uspołecznienia. Nie możemy; a na dowód przytoczę historję petersburskiej kooperatywy „Trudowoj Sojuz“, instytucji, która się ogromnie szybko rozwijała, ale tak samo szybko upadła. Rozbiła się ona o te właśnie szkopuły, o których była mowa. A jeżeli nie może być mowy nawet o dużej kooperatywie, nie opartej na pewnych już dokonanych przeobrażeniach w jej członkach, to jakże można myśleć, że ktokolwiek byłby w stanie obdarować lud państwem demokratycznym: jeśli ktoś mówi do ludu: wy się do niczego nie wtrącajcie, my za was wszystko odrobimy, a wy przez ten czas doskonalcie wasze dusze—jest to albo szalbierstwo i obłuda, albo złudzenie i ułuda. W danym wypadku jest złudzenie i ułuda Czarowica i Katerli.

Jest jedno prawo psychologiczne, że wszelkie władze ducha rozwijają się tylko w miarę ich stosowania, rozwijają się przez udział człowieka w nieustannej walce i nieustannej pracy. Ekonomiści bardzo dobrze zdają sobie sprawę z tego prawa i znają bardzo poważne zjawiska, potwierdzające go. Najogólniej znanym jest fakt, że największy rozwój osiągnęły nie te ludy, które zamieszkiwały kraje, mlekiem i miodem płynące, w których przyroda dawała człowiekowi wszystko, czego zapragnął, ale właśnie mieszkańcy krajów, w których musiał on ciągle walczyć z przyrodą. Pierwszą kolebką cy-

wilizacji ludzkiej były pobrzeża Nilu, gdzie charakter rzeki zmuszał do ciągłej z nią walki, potym pobrzeża Eufratesu, wreszcie strefa umiarkowana. Codzienna walka robotnika ze swoją dolą, te strajki, choćby przegrane, te organizacje robotnicze są właśnie tą szkołą, bez której nigdy w ludzie roboczym nie wyrobiłaby się zdolność do rządzenia sobą i światem, bez czego o żadnych demokratycznych państwach mowy by być nie mogło.

Skądże się jednak bierze sama idea wzięcia na siebie pracy, którą powinien wykonać cały lud. Czy może ona powstać w jednostce, która się czuje istotnie równą w społeczeństwie, w jednostce która jest głęboko i absolutnie demokratyczna? Powiedzmy jeszcze inaczej: czy rzeczywisty proletarjusz, człowiek masy, może tak czuć i myśleć?*) Sądzę, że nie. Zasadniczą cechą psychologji proletarjackiej w jej ideale, opartej na równości-pracy, jest głęboko rozwinięte poczucie równości w walce i równego udziału w zwycięstwach i porażkach. Proletarjusz pójdzie na śmierć, proletarjusz wykona ten czy inny czyn indywidualny potrzebny w walce, ale nigdy nikomu nie powie: — ty siedź spokojnie i dąż do doskonałości duchowej, a ja pójdę za ciebie zdobywać, dajmy na to skrócenie dnia roboczego. Nie powie dla tego,. że się takie postawienie kwestji nie zmieści w jego ustroju duchowym, że będzie on uważał, iż każdy inny ma te same obowiązki w walce co i on. i będzie z całą surowością wykonania tych obowiązków wymagał. Nie powie też jeszcze dla tego. że będzie rozumiał, iż każdy inny proletarjusz ma święte i niezaprzeczone prawo do walki, którego mu odjąć nie wolno.

Arjos.

(Dokończenie nastąpi).

*) Mówię tu o typie społecznym naturalnie. Wobec tego, że się te typy kształtują stopniowo, mogą się znaleźć w proletarjacie jednostki o krańcowo przeciwnym ustroju duchowym.